

w kącie korytarza. Sternegg przyciskał córkę do serca; było ono jak młotem. Umarł synek maleńki, przepadła dlań żona, zdeptana miłość mężowska; nad uczciwem nazwiskiem, nad życiem nieposzlakowanym, czystym, szlachetnym zawisła czarna chmura podejrzenia o królobójstwo. Żywot w nim rozsypywał się w gruzy; co zapracował, zmarniało. O, nie! została mu Hania, została córka cnotliwa, kochająca, wierny obraz pierwszej żony, niby wyrzut straszny, że poślubił inną na jej mogile, niby wspomnienie najmiłszych chwil życia. I tuli dziewczę i główkę jej łzami oblewa.

— Dziecię moje, córko moja, Haniu ukochana, co się z tobą stanie, gdzie się ty przytulisz? — łkał biedny ojciec.

— Nie lękaj się o mnie ojczulku, nie lękaj się nic a nic. Bóg nie opuści ani ciebie, ani mnie. Znajdą się dobrzy ludzie z woli Bożej, co nam pomogą.

— Może baronowa przyjąłaby cię tymczasem?

— Baronowa, równie jak my nieszczęśliwa, bardzo nieszczęśliwa. Bo ty nie wiesz, ojczulku mój najdroższy, że tam się dzieją straszne rzeczy. Ryszard w więzieniu!

— W więzieniu? Ryszard? Co? jak? Ryszard, młody baron? — krzyknął Sternegg.

— Tak, tak, uwięziony, posadzony o morderstwo i rabunek.

Hania opowiadała całą tę tragedję, a Sternegg to bladł, to czerwieniał; pięści mu się zaciskały i podnosiły groźnie, to znowu bezwładnie opuszczał ręce i zwieszał głowę.

— Chyba już szatan zapanował na ziemi! — jęknął i bezsilny uderzył plecami o ścianę.

I dość długa minęła chwila, zanim go pieczytami uspokoiła Hania.

— Widzisz ojczulku, jaka ona nieszczęśliwa. Wydarto jej i syna i mienie całe, a jednak nie traci wiary i ufa w sprawiedliwość Boską. A twoja córka, ojczulku, także ma dość siły do oparcia się niedoli i, gorzej niż niedoli, bezczelności ludzkiej.

— Bezczelności ludzkiej, powiadasz, bezczelności? Więc któż dopuścił się bezczelności ludzkiej względem ciebie?

— Chciał, ale wymierzyłam mu w pierś wylot strzelby i byłby padł trupem, gdyby się był odważył...

— Kto? mów — kto? Ubiję łotra!

— Ojczulku, spokojnie! Nic się nie stało złego i stać nie może. Twoja córka jest i będzie godną ciebie. Oto tak było, że pan marszałek dworu...

— Ten nikczemnik! obłudnik! przewrotny intrygant! wyuzdaniec!

— Tatusiu mój drogi, nie unos się. Mogą usłyszeć, zabronić nam rozmowy i już mnie więcej do ciebie nie wpuszcisz.

Opowiadała ojcu wszystko, czego doznała od Wurma, a Sternegg zgrzytał zębami, to znowu z dumą i miłością spoglądał na Hanię i gładził spłoty jej włosów. To płomieniem oczy mu świeciły, to zalewały się łzami rozrzewnienia.

Hania opowiedziała szeptem o planie ucieczki Ryszarda, o życzeniu baronowej, aby się pobrali i ukryli w obcych krajach, dopóki nie znajdzie się istotny morderca Izabelli. A Sternegg przycisnął jeszcze goręcej Hanię do serca i szepnął:

— Niech was Bóg błogosławi!

Dozorca więzienia zadzwonił kluczem, krzyknął głośno raz i drugi, podniósł się z ławy i podszedł do drzwi celi.

— Już minęła godzina. Pożegnajcie się; muszę, muszę was rozdzielić.

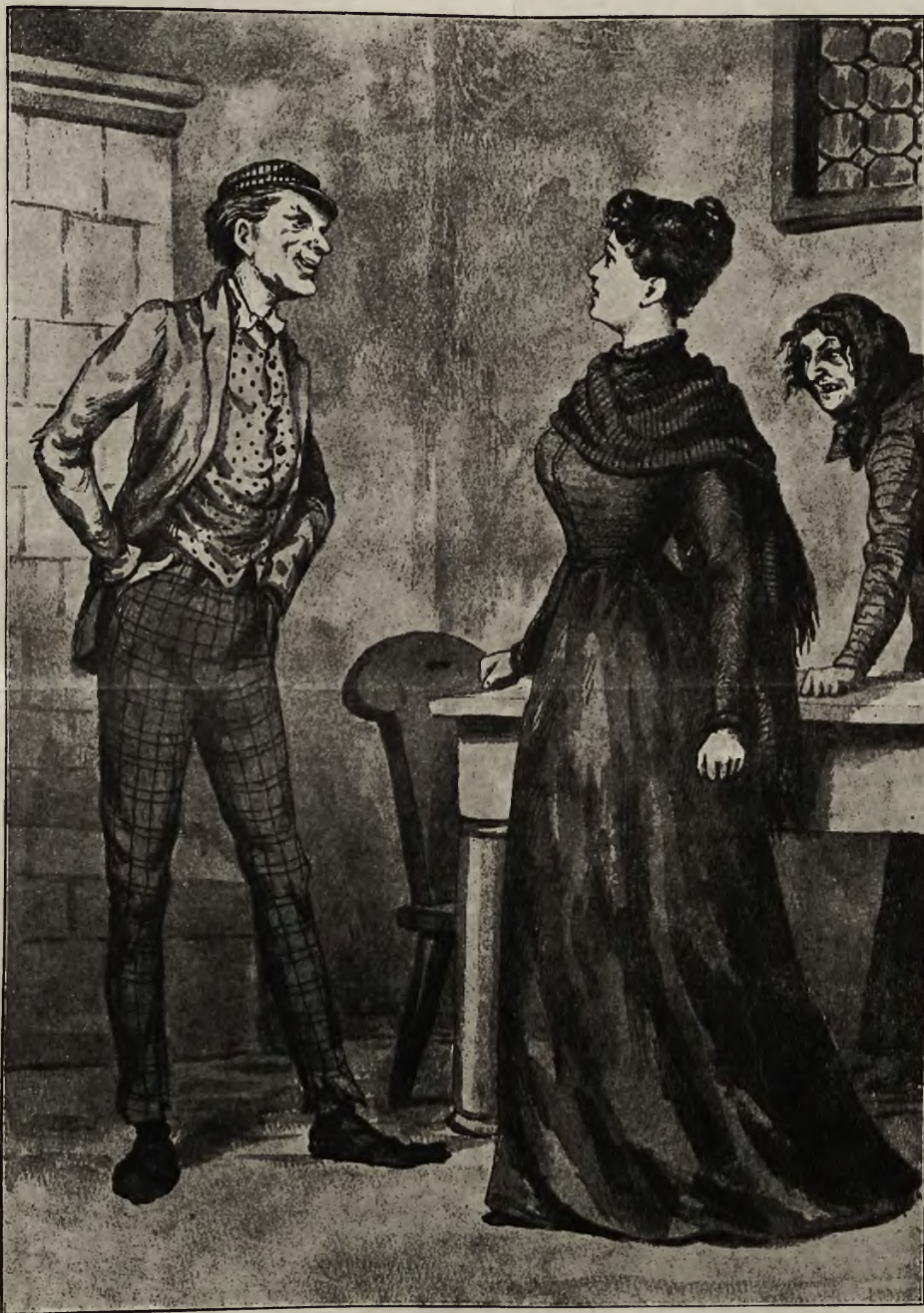
Pochylił głowę zakłopotany, a Sternegg i Hania ukleknęli i wzniesli ręce do góry i rzewna modlitwa płynęła do Boga z tych dwóch serc czystych, pełnych miłości. A potem ojciec i córka pożegnali się niemym uściskiem, rozjaśnieniem, uspokojeniem, bo modlitwa rozwarła im niebo, więc zapomnieli o piekle ludzkich niegodziwości. Rzucili na siebie spojrzenia najtkliwsze i Hania wyszła. Sternegg ścisnął ją oczyma, drzwi celi zamknął dozorca i kiwając głową szedł przez korytarz, samotny, jak te więzienia, których był strażnikiem.

### Zaręczyny.

Księżniczka Elza załamywała ręce, to szarpała niecierpliwie rękawiczki, które już naciągać zaczęła. Gorączkowe ruchy księżniczki układały na niej białą, jedwabną, powłóczystą suknię w dziwne kształty. Twarz, zgnębiona cierpieniem, miała jakiś męczeński wyraz, jak u ludzi, co chcą walczyć i zwyciężać, a w zwycięstwo nie wierzą. Dławiła łzy, mocowała się z własną niemocą. Chciała być silną i zimną jak marmur, a czuła bezsilność i gorączkę uczuć i myśli.

Panna Warburg, należąca do orszaku księżniczki, raczej powiernica i przyjaciółka, niż służebna, wysilała się, by ją uspokoić.

— Ależ nie trzeba rozpaczować księżniczko! Zaręczyny to nie ślub. Wszystko się może potem zmienić. Uporem nie przełamamy woli księżnej pani. Proszę cię, błagam, zaklinam: rozwesel się, uspokój! Tych zaręczyn uniknąć dziś nie można, niech się odbędzie, a potem będziemy mieli dość czasu pomyśleć nad tem, aby się uwolnić od tego związku.



— Primadonna teatru nie chce poznać swojego kolegi!...

— Ale jakże kłamać? Jak przyjąć tego księcia, którego wprost nienawidzę?

— Trzeba się opanować księżniczko i ze spokojem spełnić życzenie księżnej pani. Miej to na myśli, że te zaręczyny są tylko częścią ceremonii, w której bierzesz udział, jakby w jakim przedstawieniu amatorskiem.

— Ale co ten biedny Walter uczyni? posadzi mnie o fałsz; będzie myślał, że się go wyrzekłam.

— Powiesz mu sama księżniczko, że tak uczynić musiałaś, że należało uspokoić czujność dworu, że to dla jego dobra, aby go nie prześladowano. On jeszcze nie wyjechał, ukrywa się, aby cię raz jeszcze widzieć.

— Jest jeszcze? Boże! gdzież go zobaczę?

— Droga moja, kochana pani, tylko cicho, tylko spokojnie; nie zdradzaj się. Dziś go zobaczysz, za chwilę, zaraz po przyjęciu księcia. Będzie czekał w pawilonie rzeźb, dokąd teraz nikt nie zagląda. Tam zupełnie spokojnie i bezpiecznie.

Rozjaśniła się księżniczka, a chociaż łzy perliły się w oczach, uśmiech lekki zaigrał jej na ustach.

— Może to będzie ostatnie nasze pożegnanie! Bez niego żyć nie mogę i żyć nie będę, a z nim połączyć mi się nie dadzą, więc serce pęknie i życie zgaśnie i po nim nie zostanie nic, nic — tylko przestroga dla ludzi, by nie łamali serc i żywotów.

— I znowu smutek?

— Spokojna jestem, jak widzisz. Spokojna, jak lilia wiatrem złamana. Czemuż urodziłam się księżniczką? Gdybym zwykłą, była dziewczyną, nie byłabym niewolnicą przesady, etykiety, dynastycznych układów. Jak to świat fałszywie sądzi! Zdaje się ludziom, że kto na tronie zasiada, ma najwyższą władzę nad drugimi i najwyższą swobodę dla samego siebie. O! Boże! Boże! nie władza i nie wolność zasiada na tronie, ale najsrozsza niewola.

— Ej, po co te ponure rozmyślenia? Trzeba mieć twarz pogodną, bez śladu łez i cierpienia. Trzeba mieć twarz taką dla księżnej pani, dla księcia Ferdynanda i dla całego dworu. Niech się nikt nie domyśla niczego; kryć się trzeba ze słabością, zamknąć serce.

— Dziękuję ci moja droga. Masz słusność, trzeba mieć twarz zimną i twardą, by się na niej nie wypisało nic z tego, co w sercu się kryje. Ha! słyszysz? nadchodzi godzina męki. Słyszysz turkot powozów.

Panna Warburg podsunęła się do okna.

— Nadjechał książę Ferdynand. Z nim liczny orszak dworski i marszałek Wurm.

— Wurm! To nie miłe. Mam wstręt do tego człowieka. Przeczuję, że mi przez niego grozi coś złego. Gdzie ten człowiek się ukaże, zawsze za nim zjawia się nieszczęście.

— Musimy poprawić tualę. Proszę pozwolić, tak, jeszcze ułożę fałdy sukni. Włosy jeszcze. Zaraz. Diadem nieco się zesunął...

Otwierają się drzwi, wchodzi księżna, wspaniała, strojna, dumna, jak Junona. Rzuciła okiem badawczo i zadowolenie znać było na jej twarzy, bo księżniczka Elza zimna, spokojna, tak była zajęta uporządkowaniem tualęty, jak gdyby nie myślała o niczem innym w tej chwili, tylko o diademie i fałdach jedwabnej sukni.

— Moje dziecko — rzekła księżna uroczyście — książę Ferdynand, następca tronu, przybywa na uroczystość zaręczyn.

Księżniczka uchyliła głowę na znak, że gotowa na wszystko.

Księżna ujęła córkę pod ramię i poszły do ceremonialnej sali recepcyjnej, otwieranej tylko na wielkie uroczystości. Tam już czekał dwór książęcy i następca tronu z orszakiem. Wspaniałe mundury dygnitarzy i oficerów kapali złotem i lśniły się dokoła jedwabie i aksamity. Nastrój był uroczysty. Oczekiwano przybycia księżnej matki i narzeczonej z wielką niecierpliwością, boć szeptało niby tylko, ale szeptało dość głośno w sferach dworskich, że te zaręczyny nie z miłości, że, że, że i tysiące różnych „że“, jak zwykle między ludźmi, którzy nie mają co robić.

Rozwarły się podwoje sali, księżna matka weszła z księżniczką, a książę Ferdynand posunął się ku nim z wykwiną elegancją i pocałował rękę księżniczki.

I zaczęła się komedia zaręczyn, wstręt dla obojga. Książę Ferdynand odezwał się grzecznie i uroczyście, ale zimno, sucho, obojętnie.

— Ich królewskie wysokości, księżna pani i moi rodzice, postanowili dozwolnić mi, abym prosił o twoją rękę księżniczko. Uszczęśliwiony tem pozwoleniem, proszę waszej królewskiej wysokości księżniczko o łaskawe przychylenie się do postanowień księżnej i moich rodziców.

Książę Ferdynand skończył. Na twarz księżniczki uderzyły płomienie. Gwałtowny bunt przeciw tej komedii wybuchał w jej duszy. Czuła to, wiedziała i wiedziała, że książę ulega przymusowi, równie jak i ona, więc oburzyła się na to pętanie ich serc, na ten targ małżeński. Nienawidziła w tej chwili księcia jeszcze bardziej, bo on mężczyzna, on powinien był oprzeć się przymusowi, nie sięgać po jej rękę świętokradzko.

C. d. n.